

Wieczory Rodzinne

№ 22

DZIAŁ DLA DZIECI

30 maja 1914 roku

Czego się Janinka dowiedziała o gąbce i od gąbki.

— Powiedz mi, Kaziu,—mówiła Janka, ścierając tablicę, skąd bierze się gąbka? Może i ona żyła tak jak kreda?—dodała śmiejąc się z własnego przypuszczenia.

— Właśnie zgadłaś, siostrzyczko,—odrzekł Kazio, i tak, — gąbka żyła!

— Co? co? naprawdę żyła! I może była zwierzątkiem? Ależ ona nic a nic niepodobna do zwierzątka— to raczej jakaś roślina.

— Słusznie mówisz. Gąbka rzeczywiście niepodobna do zwierzątka. Niema ani głowy, ani ust, ani nóg. To też ludzie długo nie wiedzieli czy jest rośliną czy zwierzątkiem. Potem raz zaliczano ją do roślin, drugi raz do zwierząt. Nareszcie po długich poszukiwaniach i badaniach nad naturą gąbek przyznano im ostatecznie naturę zwierzęcą.



Polów gąbek.

— Jakże oni zobaczyli tę naturę? Jabym też chciała ją widzieć.

— Oho! nie tak to łatwo. Na to trzeba mieć mikroskop—no i żywą gąbkę, bo to, co trzymasz w ręku, jest martwym szkieletem tych ciekawych drobniutkich stworzonek.

— Tak? a tyś widział żywe gąbki?

— Żyjątek nie widziałem; lecz nauczyciel pokazywał nam przez mikroskop maleńki kawałeczek takiej gąbki jak twoja.

— I cóżeś dostrzegł, opowiedz mi dokładnie, mój Kazieczku!

— Dostrzegłem mnóstwo ciałek nitkowatych, pokrzywionych, zaostzonych ku obu końcom. Nauczyciel mówił nam, że ciałka te nazwano igiełkami. Wiążą się one z sobą i tworzą siatkę poplątaną do nieskończoności. Zwrócił też naszą uwagę na to, że kształty i wielkość tych igiełek nie tylko są różne w rozmaitych rodzajach gąbek, ale nawet w jednej i tej samej raz są zaostrome to znowu śpiczaste lub układające się w piękne gwiazdki tak jak kryształki śniegu, między niemi są igiełki krzemieniste. Mnóstwo takich gąbek uczepionych do skał przebywa na dnie morza.

d. c. n.

Zielone Świątki.

Wieś polska się stroi
W odświeżne myśli i odświeżne szaty...
Barwista Maryś poprzód przyśbą stoi,
Pierś swą i chatę zdobi w polne kwiaty.

El.

Ileż to wyrazu wiosennej radości w wykrzykniku Zielone Świątki! Wzrok z rozkoszą spoczywa na wybujałej w pełnym rozwoju roślinności, odmian przeróżnych kwiatów, ziół, krzewów, woni nęcącej balsamem od żywicznych lasów, miodowych powiewów łąk i pól kołyszących kłosami zbóż, mieniących się coraz dojrzalszą barwą. Z miasta kto może ucieka na

wieś pobliską, by użyć choć trochę swobody i odetchnąć świeżem powietrzem przez dwa dni świąteczne.

Zosia, Kazio i Stefek ucieszyli się ogromnie z projektu spędzenia Zielonych Świąt na wsi u wujostwa, w nadziei miłego wytchnienia pomiędzy egzaminami w szkołach, do których zmuszeni byli wciąż się przygotowywać.

— Mozolna praca choć chwilowo przzerwana, książki do szuflady, swoboda taka miła na wsi! — wykrzyknął z zapalem Kazio!

— No, mój drogi,—odparł na to Stefek,—o nauce nie należy zapominać w czasie świąt, pamiętaj, że masz zaraz po Zielonych Świątach egzamin.

— Co, chcesz może abym ze wszystkimi książkami szkolnymi jechał na wieś?—ani mi się śni, będę sobie wypoczywał i basta,—rzekł z żywością Kazio.

— Jak sobie chcesz,—wymówił spokojnie Stefek,—ja zabieram trochę potrzebnych mi podręczników, przecie ciągle nie będę biegał i bawił się.

— Masz słuszość,—wtrąciła Zosia, ja też tak zrobię, bo się boję egzaminu.

— Tchórze jesteście, nieuki,—zaśmiał się Kazio, wybiegając z pokoju, przejęty jedynie myślą o blizkiej wycieczce.

Gdy cała trójka znalazła się na wsi u wujostwa, uszczęśliwienia było co niemiara dla tych mieszczuchów przyzwyczajonych do bezustanego widoku murów miejskich. Zosia udała się długo nie czekając do ogrodu prześlicznie zielonego, oglądała kwiaty umiejętnie rozsądzone na grządkach, na krzewach porzeczkowych i agrestowych spore zawiązki przyszłych jagód, następnie skierowała się do oddziału kurników, bawiąc się widokiem żwawych kurcząt, kwiczących wrzaskliwie prosiaków, wszystkie te stworzenia mocno ją zajmowały, długo im się napatrzyć nie mogła.

Wchodząc z powrotem do domu zastała Kazia i Stefka wypoczywających po uganianiu się na łąkach za motylami.

za żrebackami, które nie dały się niczem przyswoić, lecz za to stangret Maciej, obiecał im konną jazdę na spokojnych starszych koniach. Pochłonięci całkowicie rozrywkami wiejskimi zdawało się iż zapomnieli zupełnie o krótkich dniach swobody i blizkich egzaminach, zdziwili się też mocno widząc Zosię siedzącą nad książkami w cieniu drzew.

— Czy naprawdę chcesz się uczyć? — zapytali niedowierzająco.

— Bęzw warunkowo,—odrzekła pilna dziewczynka, wszakże i Stefek zamierzał pierwszy to uczynić.

Zarumienił się zagadnięty, zapytując jakby nie słyszał co mówiła Zosia.

— Widziałem cię jakieś coś prała nad stawem,—co to było?

— Bielizna lalki,—odrzekła poważnie mała pensjonarka, teraz przesycha na słońcu, a ja wzięłam się do książki.

— E, jakie tam egzamina na pensji takiej małej dziewczynki jak ty, nasze to co innego,—rzekł z przechwałką Stefek.

— Więc czemu się nie uczycie? — powiedziała pytająco Zosia i bracia zmieszani bez słowa się oddalili, przyznając w duchu rację siostrzyczce.

Minęły szybko jak piękny sen Zielone Świąta i dzieci musiały wracać do miasta do swoich zajęć szkolnych, niezbyt im się to chciało po zasmakowaniu swobody wiejskiej, lecz na wakacje jeszcze nie była pora. Zosia zdała wybornie egzamin na pensji, mając utkwione w pamięci powtarzane wciąż formułki naukowe. Stefek zdał nieźle, bo trochę przeczytał na wsi co miał zadane w szkołach, najgorzej poszło Kaziowi, bo zamiast nazw z historii i geografii po głowie mu chodziły widziane na wsi konie, psy, motyle, łąki i ta upragniona swoboda bez nudnego profesora i ślęczenia nad książką.

W życiu jednak później upewnił się, że nauki zaniedbywać nie można, gdyż nieuctwo przynosi wstyd i wiele nieprzyjemności, czego uniknąć można, naginając się zawczasu do zajęć szkolnych.

Marja Romualda

O pięciu braciach.

(Baśń islandzka).

c. d.

Więc przy zamku wznieść nakaże
Wieżę metrów sto wysoką;
Mury grube, okna w górze,
Jedne drzwi żelazne, kute,
Tam panienki noc straszliwą
Przespać miały.

Już i święta...

Gości wiele się zjechało:
Huczno, gwarno i wesoło.
Po zabawach, ucztach, płasach,
Gdy noc straszna już się zbliża
Sam król wiedzie do wieżycy
Córy: Tridę, Idę, Meję.
Damy dworu pośpieszają
Wierna służba towarzyszy;
A korowód zamykają
Bracia-zuchy, wierne druhy.
Panny tańcem pomęczone
Tak jak były się pokładły
Na złociste, wielkie łoże,
I spokojnie wnet zasnęły.
Za przykładem panien swoich
Cały dwór i służba poszła;

Czterej bracia również drzemią
Tylko Czuj-zdrój jest na czatach.
Drzwi do izby cór królewskich
Wszerz rozwarte, lampa świeci
Cisza wielka, cisza-głucha:
Tak godziny upływają
Czuj-zdrój ciszą nie zwiedziony
W słuch i we wzrok zamieniony
Ani drgnie, ani się ruszy,
Chwila każda dlań jest wiekiem.
Cóż to? przebóg! cień przed oknem!
Jakaś dłoń potwornie wielka
Okno pchnęła i ku dziewczkom
Szybko, cicho się posuwa.
Czuj-zdrój w mig braci zawoła:
Dzierż zdrój dłoń już mocno trzyma,
Bij-zdrój jednym cięciem miecza
Olbrzymowi dłoń odcina.
Ryk wściekłości i boleści
Zatrząśł wnet powietrzem całem;
Klnąc i grożąc potwór straszny
Szybkim krokiem się oddala.

(d. c. n.)

Kalosze.

Deszcz błoto... Trójka rodzeństwa: Zdziś, Jerzyk i Krysia
była bardzo niezadowolona z niepogdy. Co robić w dżdżyste
niedzielne popołudnie? Na spacer wyjść nie można, do gier
jest ich zamało, czytanie już ich znużyło. Gdyby mama była swo-
bodna, pewnoby im jaką zabawę wymyśliła, ale właśnie ma
dziś u siebie sesję w sprawie jakiejś ochronki i siedzi w salonie
z przybyłymi paniami.

Nasza trójka, żeby mieć jakąś rozmaitość, przebiegła pokój jadalny i wśliznęła się do przedpokoju.

— Patrzcie! ile kaloszy—zawołał Zdziś.

— Dwadzieścia par, — rzekł po chwili, podnosząc głowę.

— Jakim sposobem każda z pań może poznać swoje kalosze?—zapytał Zdziś.

— Uważa pewno, w którym miejscu je postawiła—odparła Krynia.

— A gdyby je tak pomieszać?

Niewiadomo które z dzieci tę myśl rzuciło, ale wszystkie uznały ją za doskonałą. W mgnieniu oka psotnicy rzucili się na kalosze, Zaledwie parę chwil upłynęło, a już ani jedna para nie znajdowała się na swoim miejscu, ani jeden kalosz nie stał obok swego towarzysza. Zadowolone z wyplatanego figla, dzieci, tłumiąc śmiech, wróciły do swego pokoju.

Wpół godziny potem ojciec wszedł do nich.

— Odebrałem właśnie list od wuja Karola—rzekł—przyjedzie jutro i chce was zabrać do teatru.

Okrzyk radości był odpowiedzią.

— Ale muszę dodać, — kończył surowo ojciec, że pójdziecie do teatru tylko w takim razie, jeżeli nie zasługujecie na nagane. Starajcie się więc pamiętać o tem.

Głucha cisza zapanowała po jego wyjściu.

— Co będzie, gdy ojciec dowie się o kaloszach?—szeptało sumienie każdemu z dzieci.

— Może nikt się nie domysli, że to myśmy zrobili,—rzekł Jerzyk.

— Kogo, innego nie mogą posądzić?—zapytał jego brat z westchnieniem.

Dzieci straciły ochotę do zabawy. Po niejakiem czasie usłyszały kroki i gwar głosów w przedpokoju. Z bijącym sercem przysłuchiwać się zaczęły.

— Nie mogę znaleźć swoich kaloszy,—mówiła jedna z pań, — a przecież jestem pewna, że tu postawiła.

— To szczególne! jeden kalosz jest mój, ale gdzie drugi?—odezwała się druga.

Zapytania, okrzyki zadziwienia lub niezadowolenia krzyżowały się w przedpokoju, wreszcie drzwi wejściowe trzasnęły i zapanowała cisza.

Dzieci odetchnęły z ulgą.

— A teraz co zrobimy?—zapytała poważnie Krynia.

Chłopcy spojrzeli na nią.

— Przecież musimy się przyznać, cośmy zrobili,—ciągnęła Krynia.

— Musimy?—jęknął żałośnie Jerzyk.

— Nikt nas do tego nie zmusza, ale i... urwała.

Niełatwo było dziatwie zdecydować się na przyznanie do winy i wyrzeczenie teatru w którym bardzo rzadko bywali

-- Chodźmy!—rzekł wreszcie Zdziś odważnie.

Smutna, ze skuszonemi minkami, weszła trójka do gabinetu, gdzie znajdowali się rodzice

— Przyszliśmy—zaczął Zdziś, ale urwał, zobaczywszy siedzącego w fotelu wuja, który patrzył na nich z uśmiechem

— Nowa pewno psota,—rzekł ojciec surowo. — Mów.

I Zdziś opowiedział wszystko ze skrucą. Mimo usiłowań zachowania powagi wuj Karol wybuchnął śmiechem

— Przebaczcie im, moi drodzy,—zawołał zwracając się do rodziców dzieci.—Nikomui przecież nie stała się krzywda, a ja zaręczam, że już nic podobnego nie zrobią. Chodźcie teraz, bębny, zabawimy się razem w waszym pokoiku.

Wsunął jeszcze głowę przeze drzwi i dodał:—Upprzedzam, że narobimy wielkiego hałasu.

Dzieci rzuciły się wujkowi na szyję.

— Wuju Karolu, jesteś najlepszym wujem w świecie!—zawołała Krynia.

— Najlepszym!—zawtórowali chłopcy.

— Pamiętajcież już nie psocić, bo nie zawsze mógłbym was obronić,—odpowiedział wuj Karol.—A teraz do zabawy!

Wiesławek.

Opowiadanie z dawnych czasów.

Mówiąc to, ojciec smutnie zwiesił głowę, a ciężkie westchnienie z piersi się jego wydobyło. Po chwili ciągnął dalej;
— Oj, ciężka nasza dola, o kawałek chleba trudno, a teraz będzie jeszcze gorzej, bo matka z przepracowania i ze zmartwienia zachorzała i zostawi nas wszystkich sierotami.

Wiesławkowi serce się ścisnęło na te słowa, nie tego się spodziewał przy upragnionem od tak dawna powitaniu. Wyjawszy starannie na piersiach ukryte złote monety, wcisnął je ojcu w rękę i szepnąwszy tylko: „Wrócę niedługo”—pędem wybiegł z chaty.

Nie zatrzymał się, aż dotarł do obozu; tu dopiero wytchnąwszy cokolwiek, począł szukać i rozpytywać o królowę. Znalazł ją w końcu siedzącą na wielkim kamieniu wśród pola i rozmawiającą łaskawie z dwoma wiejskimi kobietami. Przypadłszy jej zaraz do nóg, zawołał z płaczem.

— Nałmiłościwsza pani, ratujcie moją rodzinę!

— Acóż się stało twojej rodzinie?—spytała łagodnie Jadwiga.

— Wszyscy z głodu prawie umierają, a matka moja dogorywa, ach! zlituj się, nie daj im zginąć!

Jadwiga ze współczuciem rękę na głowie mu położyła.

— Uspokój się, nie płacz, nie daj im zginąć, pójde sama zobaczyć czego potrzebują.

Głos jej brzmiał słodko, jak śpiew lub muzyka, wieśniaczki słuchały go z zachwytem ale i ze zdumieniem.

— Wasza królewska Mość! to być nie może, abyście się mieli do tak lichej chaty fatygować. Czyż nie dosyć, abyście tam sługę posłali?—przemówiła jedna perswadując.

d. n.

St. Junosza.